Ner 5. Kraków 1. marca 1869. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów itd. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycyja dla miasta Krakowa: w księgarni J. Czecha hotel drezdeński.

Listy należy adresować: „do Administracyi Kaliny — w Krakowie.

Dla prenumerujących **mody** załącza się kolorową rycinę i arkusz krojów i wzorów.

Historja sztuki dramatycznéj.

STUDIUM F. H.

(Ciąg dalszy.)

I.

Sztuka dramatyczna u Greków

a) *Zawiązki dramatu.*

Zaczynamy tedy od dramatu greckiego. Przyglągłądnąwszy się z uwagą jego kolébce, policzymy momenta jego rozwoju i wzrostu w ten cudny kwiat poezyi, a tu i ówdzie rzucimy myśl zwrotną na teatr dni dzisiejszych, który w swoim czasie znajdzie słowo w ramach tego pisma. Atoli „pierwéj mama“, a potém córa ma nas zajmować. A. Małecki temi słowy motywuje powstanie dramatycznéj poezyi w Atenach: „Istota dramatyczności wymaga nowego i odrębnego stanowiska, i to tak u poety jak u społeczeństwa. Cały wewnętrzny stan ducha, cały rodzaj natchnienia, zmienić i podnieść się powinien, jeżeli naród, który nie znał na polu sztuki tylko liryczne i epickie utwory, postąpić ma do swojéj dramatycznéj epoki....“ I rzeczywiście narodowy duch grecki przyszedł do samodzielności męzkiéj zwalczywszy olbrzyma Wschodu na polu Maratońskiém i na falach Archipelagu pod Salaminą. I dla tego to tradycja wiąże imiona trzech mistrzów dramatu greckiego około bitwy pod Salaminą (r. 480), na którym to dniu Eshyl walczy jako mąż 45letni Sofokl, jako młodzieniec przygląda się walce wolności z przemocą i najazdem, a Euripid się rodzi. Już od czterech wieków mieli Helleni wzory dzisiejszych poematów Iliadę i Odysseę, które zrodziły przejście ze stanu dziecińśtwa w okres młodzieńczy, z epoki monarchicznéj w republikańską, już od dwóch wieków mieli piewców lirycznych, którzy o wolności, pobożności, miłości i winie śpiewali w czasach rozwoju rzecz pospolitych, w których osobistość przychodziła do pełni praw swoich i upajała się swobodą obywatelstwa. Jeden czyn bohatérski stanowił krok w okres męzkości, w któréj Hellada o losach wschodu stanowiła. Polityczna dzielność stworzyła wykwit duchowy: sztuk i umiejętności. Jest to czas Themistoklów, Aristidów, Cimonów, Peryklów, Fidiaszów, Sokratów, Eshylów, Sofoklów, Euripidów, Aristofanów itd. Tyle o warunkach historycznych dramatu.

Przypatrzmy się teraz tym ciernistym pączkom, z których taka piękna róża wyrosła. Poezja dramatyczna polega, jak już samo imię greckie wskazuje („drama“ znaczy czynność), na czynnościach, które nie są treścią opowieści, jak w poezyi epicznéj, ale które przed oczyma obecnych odbywać się zdają. Caléj jednak różnicy między dramatem a epopeją nie stanowi owo pojawne odbywanie się czynności; albowiem te czynności nie odbywają się istotnie w czasie przedstawienia, ale je tworzy fikcja poety, i jak się uda illuzja widzów, że ta lub owa osoba przed nami mówi, myśli, cierpi, działa: a wtedy całą różnicę tworzyłoby omamienie i dowolność. Istota téj poezyi tkwi głębiéj, w stanie ducha poety, który te przedstawienia tworzy. Podczas, tedy gdy poeta epiczny kryje się za przedmiot, który opowiada światom całéj przestrzeni, jaka go od niego oddziela, dramatyk całym duchem zatapia się w sytuacje życia ludzkiego, które przedstawia i niejako je powtarza. A powtarza je w podwójnym kierunku: raz przedstawiając czynności od ich poczęcia się w głębiach duszy aż do ich dojrzenia, od pomysłu aż do wykonania tak naturalnie, jakby z naszego wnętrza wyrastały, a powtóre tak nimi poruszając ducha widzów, że ich zupełnie owłada i wciąga w koło losów osób scenicznych, iż z nimi razem cierpią lub się cieszą. Im większy geniusz twórcy, tém większy ten wpływ czarodziejski. Tu się pojawia także potrzeba chóru, jako spólnika cierpień i radości bohaterów, tu także dosyć wyraźna skazówka, dla czego dramat u Greków nie rozwinął się z pnia epicznego, ale czekał, aż pieśni liryków zbudzą go z pieluch do życia. Ale te uwagi o istocie dramatu za dalekoby nas zawiodły; tu jeszcze jednę poruszymy okoliczność, którą się dramat różni od epiki i liryki: tak poezja epiczna jak i liryczna może wziąść za przedmiot swój przyrodę, poezja

dramatyczna tylko człowieka, zkąd jéj ta wyższość nad swemi młodszemi siostrami i ta potęga, z jaką wstrząsa naszą duszą.

Cofnijmy się myślą z owych czasów, gdzie dramatyczne przedstawienia stały się powszedniemi widowiskami do owego okresu, gdzie dramat był jeszcze nieznany, a pojmiemy, jak wielka śmiałość pomysłu, jak olbrzymi krok ducha okazuje się w podobnym utworze. Podczas, gdy aoida (śpiewak) opiewał tylko czyny bogów i kuzynków ich bohaterów, których czcił całém nabożeństwem swéj artystycznéj duszy, podczas gdy poeta liryczny swe uczucia w kształcie pieśni bogom ofiarował, lub w kształcie elegii itp. ludziom jako piękne kwiecie swéj duszy podawał: poeta dramatyczny mięsza bogów i ludzi — bogów czyni bohaterami-ludźmi, ludzi czyni ludźmi-bohaterami, losy jednych i losy drugich poddaje pod przemoc strasznéj, nieubłaganéj ananke (konieczność, fatum rzymskie) snując przed oczyma widzów nić zmiennego żywota. Wprawdzie już w ludzkiéj naturze spoczywają żywioły dramatu: owa chęć naśladowania, która nieraz lubi drugie osoby w ich manierach naśladować, owa żywość dziecka, która chętnie przedmiot opowiadania oddaje tak, jak się wydarzył, powtarzając niejako jego historję, ale od owych słabych zarodów w ziarnku, do pięknego kwiatu dramatycznego daleko, i zdaje się, że tylko jeden genialny naród Greków ten krok uczynił, przed nim nikt, a kto po nim, to za jego wzorem. Literatura hebrajska poemata jak „Hiob“, gdzie przychodzą dramatyczne djalogi, czém wiedziony Szujski powiada: że „poemat ten nie bez motywów dałby się nazwać dramatem Hebrei, prototypem i patrjarchą wszystkich wielkich poematów dramatycznych“ *), ma liryczne utwory, z wątkiem dramatycznym jak Salomońska „Pieśń nad pieśniami“, ale jednak nie mamy w téj literaturze właściwego dramatu. Chiński dramat daleko młodszy, a może nie bez wpływu indyjskiego ducha, u Hindów zaś zakwitł dramat dopiero w czasie, gdy się ich literatura z grecką zetknęła, w rzymskiéj literaturze był kwiat dramatyczny rośliną egzotyczną, w cieplarni sztucznie podtrzymywaną, a tak zwane „Mysterie średniowieczne“ to tylko karykatury, które chęć naśladowania greckich arcydzieł stworzyła. A z greckich szczepów tylko szczep joński dramat posiadał, Ateny wyłączną jego ojczyzną, gdzie sceniczne przedstawienia dawano cztéry razy do roku w zimowe i wiosenne święta Dyoniza. Wszystko to byłoby rzeczą niepojętą, gdyby dramat w przypadkowości lub dowolności ducha ludzkiego miał swój początek; bo gdyby na stworzenie dramatu wystarczyła chęć naśladowania i upodobanie w ukryciu właściwéj osoby pod maską, toby dramat tak był codziennem zjawiskiem w literaturach narodów, jak powszednie te przymioty między ludźmi.

Gdzie należy z nadzieją skutku szukać źródeł greckiego dramatu, pokazuje nam związek jego z uroczystościami na cześć Bacchusa. Grecki kult w ogóle zawiera w sobie żywioły dramatyczne, wszak Grek był, że tak powiem poufały ze swymi bogami, którymi napełnił przyrodę, stworzył ich sobie żywą wyobraźnią dla rozkoszy swéj duszy, czcił ich artyzmem, wyobrażał ich sobie mieszkających w świątyniach, i biorących udział w uroczystościach, i nie uchodziło wcale za ubliżenie ich majestatowi przedstawić ich osoby w pewnych czynnościach. Tak przedstawił ładny jakiś chłopiec Delficki, Apollina w walce ze smokiem; tak para ślubna Samijczyków przedstawiała na Samos wesele Zeusa z Herą, a mysterie eleuzyńskie były zdaniem Klemensa Aleksandryjskiego Ojca Kościoła, „mistycznym dramatem“, w którym historję Demetry i Persefony przedstawiano. Także i kult Bacchusa zawierał ziarna dramatu w sobie. Jakoż na pewnéj uroczystości Ateńskiéj „anthesterie“ zwanéj, zaślubiano bożkowi żonę drugiego archonta, królową zwaną (każda Greczynka była piękną), a Bacchusa na procesjach w dniu jego święta zawsze jaki człowiek przedstawiał. Dla czego zaś dramat grecki rozwinął się z kultu Bacchusa, a nie z kultu innego boga, na to chciałbym pokrótce odpowiedzieć. Myt Bacchusa był najcharakterystyczniejszym mytem pogaństwa. Kult jego największym tchnął entuzjazmem i natchnieniem. Przyroda — to u Greków ten prześliczny panteon, który oni swymi bogami ożywili; przyrody głównym przedstawicielem, tam gdzie ona jako matka cierpi i żywi — jest Bacchus, bożek wina i płodności. Uroczystością jego święcono walkę, jaką życiodajna przyroda ze siłami niszczącemi w zimie i na wiosnę odbywa: w walce téj brał Grek współczuciem najgorętszém, pełną piersią udział, dla tego téż zimowe miesiące w Delfach Dyonizowi poświęcone, dla tego jego uroczystości przypadają w miesiącach, które są najbliższemi dni najkrótszych, gdzie niby noc góruje nad dniem. Grek wezbraną piersią brał udział w losach Bacchusa, którego sobie w przyrodzie wystawiano jako zaczepionego, cierpiącego, pasującego się, ulegającego i znowu ożywiającego, ba nawet występującego z palmą zwycięztwa, jako żywiciela ludzkości. Któż tu nie widzi dziejów natury w czasie cztérech pór roku? Wreszcie w potoku czasów, z rozwojem duchowym Greków i ich religja uduchowić się musiała. Nie widziano już w tych uroczystościach dziejów przyrody, ale dzieje uosobionego Bacchusa, któremu dodano za towarzyszy Satyrów, Nimfy itp. postacie, przez które wszedł Bacchus w związek ze światem roślin i zwierząt, w którym to świecie życie bożka rozlało się w tysiące form smętnych

*) Rys dziejów literatury świata niechrześćjańskiego str. 182.

i rzewnych zarazem. Te formy uchwyciła fantazja Greka i wnet wszedł w towarzystwo Bacchanckiego orszaku, i wnet odział się skórą koźlą i sarnią, powieszał liście na twarzy zamiast brody, smarował się i czernił lub maską z kory zakrywał, jedném słowem przybierał kostium Satyrów, a to nie dla tego, by pod tą pokrywą mógł swobodnie broić i błaznować (bo błazeństw bezmyślnych, possów wiedeńskich Grecy nie znali), ale aby się stać dla siebie czémś całkiem obcém i przenieść się w świat fantazji, dziwów i uroków przyrody.

Tak może czytelniczki poznają łatwo, jak się z kultu Bacchusowego drogą swobodnego rozwoju wyrobił dramat jako obrządek czci jego poświęcony. Rzecz tę bliżéj chciéjmy rozwinąć. Na to się wszyscy uczeni oparci na świadectwach starożytnych zgadzają, że tak trajedja jak i komedja pierwotnie była tylko „pieśnią chórową“ z rodzaju dytyrambów. Okoliczność to uderzająca, że część liryczna była zawiązkiem dramatu. Losy boga, akcją (drama) albo sobie w myśli wyobrażano, albo obrządkami symbolizowano, a chór w dytyrambie uczucia swoje wyrażał. Czytelniczki wiedzą zapewne, że dytyramb była to pieśń natchniona mytem Dyoniza, którą pospolicie śpiewali biesiadnicy winem w stan ziemskiego zachwytu wprawieni; pieśń tę pierwszy Arion około r. 580 zastósował dla chóru, ten sam Arion, który jest wynalazcą t. z. „tragicznéj modły“ (tragikos tropos), znany wreszcie z legendy, jakoby na delfinie jechał. Taka pieśń na tragiczną modłę, choć jeszcze nie w Arionowskim tonie, znaną była już około r. 600 w Sukyoonie, gdzie tragiczne chóry opiewały cierpienia Andrasta zarówno, jak i cierpienia Bacchusa, które atoli Klisten wyłącznie czci Bacchusa przywrócił. W Sykyonie téż słynął tragik Epigen, w czasach przed tragikami Ateńskimi. Widzimy więc, że te chóry tragiczne za przedmiot swojéj pieśni biorą przygody Bachusa ale wnet schodzą na przygody bohatérów ludzi, którzy koleje podobne Bacchusowym w życiu swojém przechodzą. Ciekawa zapytać się może, czemu przygód innych bogów nie brano za przedmiot śpiewów tragicznych, a późniéj tragedji? Oto, z téj prostéj przyczyny, że bogowie inni byli wyżsi po nad kolej zmiennych losów ziemskich, którym Bacchus jako bóstwo chtomiczne tj. na ziemi bytujące ulegał, równy w têm ziemskim bohaterom.

Ale ta tragedja, raczéj dytyramb tragiczny nie był dotąd niczém inném, jak tylko śpiewem obrzędowym na cześć Bacchusa, bez żadnéj a żadnéj akcji, która stanowi istotę tragedji. Nie od rzeczy tedy będzie okazać, jak się ta akcja ze śpiewu tragicznego wydzieliła. Jeżeli mamy wierzyć słowom niezawodnym Aristotelesa, że „tragedja zawdzięcza swój początek przewodniczącym chóru“ (Vorsänger), to musimy przypuścić, że w przestankach przewodnik chóru opowiadał przygody Dionyza, a chór objawiał swe współczucie. Tu się pokazuje już pewna akcja — djalog między przewodniczącym a chórem. Chór ten uważa się jeszcze zupełnie za orszak Dionyza, za satyrów, których w uczuciach naśladował i których zewnętrzną postać na siebie przybierał. I ztąd téż, że ten chór złożony z ludzi, okrytych koźlemi skórami miał podobieństwo do kozłów, niektórzy nazwę „tragedja“ wywodzą, bo „tragos“ znaczy w greckim kozioł, a „ode“ śpiew; znaczyłoby to tedy „śpiew kozłów“. Lecz wywód ten jest arcyniedorzeczny, bo powierzchowny; nazwa ta raczéj z istoty rzeczy wypływa. Dytyramby owe tragiczne śpiewano około ofiary kozła, ztąd nazwa tego śpiewu, który powoli z akcją przechodził tragodja, co znaczy: „śpiew około ofiary kozła“.

Do tyla rozwinął dramat geniusz dorycki, a do wyżyny najpiękniejszéj sztuki doprowadził go artystyczny duch joński. I podczas, kiedy w tych ciasnych stereotypowych formach spowiły dramat u konserwatywnych narodów doryckich, pozostał w długie wieki obrządkiem religijnym na cześć Bacchusa i co najwięcéj był zabawką dla ciekawego ludu, geniusze ateńscy uczynili dramat szkołą życia i obyczajów, sterem opinii publicznéj, piastunem przeszłości i żywicielem dzielnéj przyszłości. Ateńczyk Tespis około r. 536 za czasów Pizistrata podjąwszy ziarna sztuki Arionowéj i Epigenowéj wywabił z nich kieł téj pięknéj rośliny, która pod słońcem geniusza Eshylowego ponętny pączek, a pod promieńmi Sofokla uroczy kwiat wydała, który utalentowany Euripid zachowywał długo w świeżości i sile.

Tespis pierwszy dodał do osób chóru jednego aktora, który zawięzywał djalog z przewodniczącym chóru, który się przy dawnéj roli utrzymał. Patrząc na taki personał z pojęciem jaki mamy dziś o dramacie, powiemy sobie zapewne, że ten jeden aktor znaczy tyle co nic, ale rozważywszy, że ten jeden aktor występował kolejno w rolach różnych, kryjąc pod maską płócienną swą indywidualność, pojmiemy, że mógł się na têm tle osób działających rozwinąć dramat z kolizją i jéj rozwiązaniem. Chór Tespisomy przedstawiał jużto satyrów, jużto innych ludzi, w jego bowiem dramacie jeszcze dramat satyryczny i trajedja nieoddzielnie się bratają. Tańce chóru były jeszcze rzeczą główną dramatu — i aczkolwiek późniéj nie odgrywały tak ważnéj roli w dramacie, to zawsze jednak tragicy byli mistrzami baletu chórowego, że tak po naszemu się wyrażę, i w czasach Aristofanowych nawet, kiedy dramat Jespisa nie śmiałby się pokazać na scenie ateńskiéj, lubiano jeszcze tańce Tespisa.

Ze sztuk jego pisanych nie ostała się żadna przed zębem czasu, kilka zaledwie tytułów nas doszło. Zróbmy sobie z tego, cośmy tu powiedzieli, obraz dra-

matu Tespisowego, a poznamy łatwo, że w jego dramacie spoczywają zarody naszych dzisiejszych trajedyj, komedyj, oper i baletów, a nadto dramatu satyrycznego, który się pojawiał na ateńskiéj scenie, o którym jeszcze późniéj pomówimy.

O jeden szczebel wyżéj ku wyżynie sztuki podniósł dramat Frynich około r. 512. Ale czém? Nie udoskonaleniem przedstawienia, gdyż w jego dramatach także tylko jeden aktor jak w Tespisowych wszystkie rolę odgrywa, ale wzbogaceniem wewnętrznem. On to pierwszy wprowadził na scenę kobietę, któréj rolę jak w całéj starożytności mężczyzna jedynie mógł odrywać? on piewszy brał za przedmiot swoich dramatów wydarzenia swego czasu, gdy przeciwnie Tespis tylko z mytologicznego czerpał źródła. Z jego sztuk żadnéj nie posiadamy, na świadectwach jednak starożytnych oparci możemy tyle o nim powiedzieć jako sędziowie jego muzy, że słynął bogactwem liryki i wspaniałością muzyki. Jego orkiestra była czarującą, jego pieśni rzewne, jako wychowanka szkoły eolskiéj, i jeszcze w ponurych czasach Peloponezkiéj wojny nie przeżyły się i z rozkoszą je nucono w narodzie, ratując niejako świeżego ducha swego młodzieńczego wieku. Jednéj okoliczności z historyi jego dramatu nie pominiemy tutaj, gdyż ona nam pokazuje, jak pojmował naród grecki sceniczne przedstawienia. W swojéj sztuce p.t.: „Zdobycie Miletu“ przedstawił uczuciowy poeta w żywych barwach sceny okropne, jakie się działy podczas zdobycia Miletu przez Persów po rokoszu Jończyków. Publiczność miała być do łez wzruszona widokiem nieszczęścia swych braci, państwo jednak miało go skazać na grzywny, wyrażając to przekonanie, że „poezja powinna ducha krzepić a nie osłabiać, podnosić w sfery piękna a nie dręczyć widokiem zła codziennego“.

Obok Frynicha kwitnął Cheryl bardzo płodny i niezmordowany ani pracą ani wiekiem pisarz, (jak nasz śp. Lelewel) gdyż roku 524 wyszedłszy na widok publiczny po kilkudziesięciu leciech z Eshylem i Sofoklem staje w szranki współzawodnictwa. Jego muza stoi wyżéj o jedén stopień od muzy Frynicha, gdyż w jego utworach widzimy już rozdział dramatu satyrycznego od trajedji, a wieść niesie, że on słynął w dramacie satyrycznym. Jego muza tworzy na przeciwnym biegunie muzy Frynicha.

Tu uważamy za stósowne pomówić krótko o dramacie satyrycznym, o który już tylekrotnie w powyższych ustępach potrąciliśmy. Jak powstał, kto jego twórcą. Z biegiem czasu doskonaląca się tragedja odchodziła od mytów Dionyzowych, biorąc za przedmiot przygody bohatérów ziemskich. Istota przedmiotu wymagała innéj fizjonomji zewnętrznéj. To téż rubaszny chór Satyrów nie bardzo dobrze wydawał się w poważnéj grze smutnych losów ludzkich. Wnet téż odzielono zupełnie trajedję biorąc dla niéj wątek z mytów bohatérów, od dramatu satyrycznego, który można uważać za pierworodną gałąź pierwotnego dytyrambu tragicznego. Zostawiono i rozwijano go, że tak powiem przez wdzięczność i przywiązanie Greków do formy, w któréj jakąś piękną myśl, co się potém w arcydzieła przelała, pozwali. W czasach wydoskonalenia się trajedji przedstawiano po każdéj trylogii (czyli po trzech dramatach oddzielnych z jednym wątkiem) jakby na deser po ciężkiéj strawie duchowéj, jaką była poważna uroczysta trajedja. Przeznaczeniem dramatu satyrycznego było złagodzić wrażenie, jakie na słuchaczach tragedja zrobiła, i dla tego najczęściéj wątek jego był ten sam, co i w tragedji. Był on po prostu mówiąc parodją tragedji, albo jak go Demetry nazywa: „żartobliwą tragedją“. Sceny dramatu satyrycznego odbywały się w otwartéj przyrodzie, najczęściéj w borach, mieszkaniach Satyrów, przygody były charakterystyczne, dykcja rubaszna, a kto dziś widział niemieckie possy tego rodzaju jak „Orpheus in der Unterwelt“, ten ma jakie takie wyobrażenie o dramacie satyrycznym. Za przedmiot brano wypadki jakich potworów i tytannów mytologicznych, którym dzielni bohaterowie lub szczwane lisy na nosach grają lub ich w pole wywodzą, a nasza historyjka o Mazurze mędrszym od djabła dałaby się użyć za przedmiot do dramatu satyrycznego. Najczęściéj figurował w nim Herakl, ów olbrzym skory do szklanki i pohulanki, co nie gardził i zastawą stołu zwłaszcza obfitą, który lubiał wesołe towarzystwo i dolce far niente, i wtedy nie żałował animuszu pozbawić się z rubasznymi Satyrami i im podobnymi świszczypałkami.

Kto pierwszy oddzielił dramat satyryczny od trajedji? zapytają może ciekawe czytelniczki. Na to ważne pytanie w historyi sztuki dramatycznéj odpowiem opierając się na świadectwach starożytnych gramatyków w krótkości. Przypomną sobie może czytelniczki, cośmy powyżéj o dytyrambach i tragedjach Ariona i Epigena u Dorów mówili. Fliuntczyk nazwiskiem Pratinas napatrzywszy się tym dytyrambom i trajedjom chóru Satyrów stworzył z nich około r. 500 występując jako współzawodnik Cheryla w Atenach osobny dramat, który obok dramatów Cheryla, Frynicha i Tespisa przedstawiano. Pratinas pisał także i trajedje, w których z Eshylem nawet szedł o lepsze, pisał i hiporchemy, rodzaj pieśni na cześć Apollina, ale muza jego świetnieje w dramacie satyrycznym, w którym dorównał nawet Eshylowi.

Spadkobiercą jego muzy był syn jego Aristias, który jako gość w Atenach zbierał wawrzyny obok Sofokla.

Na tym punkcie rozwoju dramatowi się przypatrzywszy, widzimy go pięknem kwitnącém dzieckiem, które podjęła muza Eshyla; aby zeń dzielną stworzyć Wiraginę. Tu moglibyśmy zapoznać się bliżéj z mi-

strzem dramatu Eshylem, ale abyśmy lepiéj promienie, któremi świecił jego geniusz poznali, cuda, któremi czarował pojęli, wypada nam zapoznać się bliżéj z urządzeniami scenicznemi, czyli z teatrem Greków. Będzie to niejako ciało, w które się tak piękna muza odziała. (C. d. n.)

POŻEGNANIE.

„Czy słyszysz — bojowa
Grzmi trąbka — nie mogę
Pozostać - bądź zdrowa!
Daj całus na drogę!...

„Co, nie chcesz?... lecz może
Zabiją Moskale —
A wtedy — o Boże
Twych ustek korale
„Nie dla mnie!... Z warkoczy
Choć modry bławatek
Daj luba — twe oczy
Przypomni ów kwiatek....

„Chcę, nie dasz!... więc z szaty
Choć nitkę daj przecie —
Pamiątką bogaty
Czy w piekle, czy w raju
Nie zginę!“...

„I kwiecie
I całus mych ustek korali
Mieć będziesz — gdy z kraju
Wypędzisz Moskali!“...

M. Kochanowski.

Złote kajdany.

Ze starych pamiętników przepisał

Tadeusz Sławiński.

(Ciąg dalszy.)

* * *

Nieszczęście na gładkiéj drodze! Otóż daję wszystkim najlepszą illustrację do tego mądrego przysłowia.

Wszedłszy do kaźni, machinalnie zdjąłem futro, rozwinąłem olbrzymi szal, który zasłoniwszy twarz moją, bodaj czy nie dał największego powodu do tego fatalnego nieporozumienia, położyłem się a raczéj rzuciłem na łóżko. Że to było łóżko, poznałem dopiero po miękkiém posłaniu, bo kładąc się, nie wiedziałem prawdziwie co mię czeka, czy łoże Madejowe, czy jaka jama piekielna. A rozróżnić wtedy nic nie mógłem. Księżyc poskąpił już reszcie nocy swego mdławego światła, a zresztą w położeniu mojém wszystkie zmysły popadły w zupełną bezwładność.

Leżąc na łóżku, przeklinałem w duchu moją żabią naturę. Dlaczego nie dobyłem rewolwera i nie rozpędziłem kilku strzałami téj zbójeckiéj hałastry. Ale zimna refleksja usprawiedliwiała grozą widocznéj przemocy tę nieporadność. Wreszcie i ta dotąd czujna funkcja mózgowa wpadła tożsamo w senną bezwładność. Nie widząc nawet ścian mego pokoju, nie słysząc nic zgoła, usnąłem już nad rankiem.

Zbudziłem się dopiero około południa. Leżąc z na pół przymkniętemi powiekami, przywołałem w pamięci wszystkie szczegóły wczorajszéj afery, usiłowałem zasnąć napowrót, ale wesołe, prawie dokuczliwe promienie słońca szydziły z smutku i snu mojego. Otworzyłem zupełnie oczy i zobaczyłem — dziwa!

Zamiast ciasnéj i wilgotnéj kaźni więziennéj, które rozgorączkowana fantazja przystroiła w straszne i ponure kontury piekielnych narzędzi męczeństwa, ujrzałem pokoik wcale elegancki, zamiast myszy i szczurów, tych jedynych towarzyszy i mebli więziennych, ujrzałem ładną kanapę i kilka wcale gustownych krzeseł, zamiast wązkiego i twardego tapczana, widziałem szerokie łóżko, na którego miękkiém i wygodném posłaniu uspokojony nieco wyciągnęłem się rozkosznie z pewném niedowierzaniem w rzeczywiste istnienie tych przyrządów rozkoszy ludzkiéj.

Zdziwienie moje przebrało wszelką miarę, gdy wstawszy na pół ubrany z wygodnego łóżka, znalazłem wszystkie przybory toalety, któraby od biedy nawet i wybrednéj kokietce wystarczyć mogła. A do tego jeszcze jakby dla większéj ironji wymarzonéj niedoli zastałem obok łóżka na krześle szklankę wybornéj gorącéj kawy i fajkę nałożoną najlepszym tytoniem.

— Jacy to głupcy ci Francuzi — myślałem, rozprawiwszy się z ostatnim smacznym kąskiem i zapalając fajkę — że zniszczyli z taką wściekłą zajadłością bastylję. Ręczę, że jeżeli tak daléj pójdzie i Adam nawet w takiém więzieniu nie tęskniłby długo za utraconym rajem.

— Czy marzyłem kiedy o lepszém życiu — myślałem daléj. — Ciepły pokoik, cisza spokojna, dobry wikt i fajka smaczna ma się nazywać więzieniem?

Już przez chwilę nawet nierad wyczekiwałem téj chwili, w któréj okaże się, że nie będąc tym zbrodniarzem Stanisławem, nie jestem godzien takiego więzienia. W téj chwili gotów byłbym zamordować kogo, byle tylko być skazanym na dożywotnie więzienie w Królewskiéj Woli.

— Ale co daléj będzie?

To pytanie wylęgłe ni ztąd ni zowąd w méj uspo-

kojonéj głowie, przerwało nagle całe tak zręcznie utkane pajęcze pasmo szczęścia i zadowolenia.

Czego ci ludzie chcą odemnie? Cała ta mglista tajemniczość odżywiła napowrót dawny strach i rozpacz. Raz patrzałem lękliwie na podłogę, czy nie zobaczę tam gdzie jakiéj szkaradnéj zasadzki, czy nie pochłonie mnie jakimś szatańskim sposobem okropne podziemie, to znowu wlepiałem wzrok w spokojny zamek we drzwiach; czy przez nie nie wkrada się przypadkiem dziki kat z krwawym toporem.

Taką okropną myślą zajęty, usłyszałem rzeczywiście od korytarza ruch piskliwy klucza w zardzewiałym zamku. Klamka się ruszyła, zerwałem się jak oparzony, pewny, że zbliża się moja ostatnia godzina. W otwartych drzwiach stanęła jakaś stara jéjmość, widocznie klucznica albo pokojowa, a za nią — kat? — nie, bardzo ładna panna.

— Bardzo ładna panna? zapyta jaki sceptyk.

Jużciż musiała być nad wszelki wyraz ładną, skoro mi się taką wydała w chwili, gdy myśl moja zaprzątniętą była najszkaradniejszemi obrazami i w każdéj obojętnéj nawet rzeczy dostrzegła coś okropnego, obrzydliwego. Kobieta stanęła w progu, a z poza niéj zaglądała do pokoju ciekawie młoda, siedmnasto- lub ośmnastoletnia piękność skończona.

Panienka starała się ciągle ukrywać za plecami swéj mistrzyni, ale jéj ciekawy i niesforny wzrok spotykał się mimo to z jéj cudną uśmiechniętą twarzyczką, na któréj co chwila lekki rumieniec igrał swawolnie z śnieżną bielą. Gęste blond włosy ujęte były w karby grubych splotów warkoczy, ale mimo to pełne ich zwoje szydziły z gładkiego uczesania, wyrywały się niesfornie do połowy z nałożonych im więzów i obfitą swą bujnością kokietowały ustawicznie z zdziwionem okiem widza. Lekki i gustowny negliż nadawał całéj téj postaci wyraz uroczéj prostoty i poważnéj elegancji.

— Święty Janie na puszczy! zawołała zdziwiona stara jéjmość. — A toż to nie jest pan Stanisław, chociaż bardzo do niego podobny.

Na te słowa panienka spłoniła żywym rumieńcem i cofnęła się w głąb sieni.

Święty Janie na puszczy! — wołała daléj stara jejmość, cofając się tożsamo: A to przez naszego pana gotowa się panna Jadwiga na prawdę rozchorować.

Zdziwiony tém nowém zjawiskiem, nie wymówiłem ani jednego słówka. Oczami chciałem ścianę prześwidrować, żeby raz jeszcze zobaczyć ładną dziewczynkę.

— Święty Janie na puszczy! — wołała jeszcze z głębi sieni staruszka. A niechże panna Wandzia pobiegnie co żywo do panny Jadwigi, by się to biedactwo tak nie gryzło.

Niebawem ucichło powolne dreptanie staruszki i żwawe kroki panienki, która zamiast przywitania i pożegnania, wybuchła swawolnym, szalonym śmiechem, który obiegł wszystkie puste ściany korytarza.

Dopiero po chwili ocknąłem się z głębokiéj zadumy. Drzwi były zupełnie otwarte, mogłem bardzo łatwo uciec, ale ostatnie zjawisko i cała tajemniczość interesowana mego więzienia przykuły mię jakoś teraz bardzo silnie do niego.

Zacząłem znowu dumać.

— Wanda, Jadwiga! — brzmiało mi ciągle w uszach.

Która z nich Wanda, a która Jadwiga? — pytałem sam siebie i nie mógłem odgadnąć, mimo tak wyraźnéj mowy staruszki. Ależ bo wśród takiego nawału najserdeczniejszych wrażeń i uczuć, strachu, zdziwienia i podziwu, zmysł mój kombinacyjny musiał się stępić koniecznie.

— Dajmy na to — myślałem, żem widział teraz Wandę. Piękna dziewczynka!

I gość mój stanął przedemną z całym niepojętym czarem i urokiem swéj rzadkiéj piękności. Ucieszyłem się bardzo, że serce moje zaczyna się powoli budzić z swego otrętwienia.

— Wanda, Wanda — szeptałem mimowolnie i dużemi krokami mierzyłem obszerną przestrzeń mego więzienia.

— Ale staruszka wspomniała jeszcze o innéj pannie i do tego jeszcze cierpiącéj — snułem daléj wątek mych złotych myśli. — Dajmy na to, że ta druga panna nazywa się Jadwigą i jest siostrą Wandy... Wandzi... Jużciż nie mogła się ona zupełnie wyrodzić od swéj siostrzyczki. Musi więc być piękną i to bardzo piękną. Co więcéj, musi być nawet piękniejszą od mego uroczego gościa, boć powiedział Szyler: że kto nie widział piękności kobiecéj, owianéj smętnym tchem boleści i cierpienia, nie widział jéj nigdy w należytym blasku.

Ucieszyłem się jeszcze więcéj, bo miałem już niezbite dowody, że serce moje budzi się coraz mocniéj ze smutnego letargu.

* * *

Przez drzwi otwarte weszło do mojéj kaźni czterech pachołków, dziwacznie i całkiem jednakowo ubranych.

— Proszę do indagacji — rzekł jeden z nich do mnie bardzo śmiałym głosem.

Wpatrzyłem się w niego, zdziwiony bardzo jego śmieszną powierzchownością. Na ten śmiały wzrok cofnęli się obaj heroldowie sprawiedliwości, mocno zdziwieni, prawie zalęknięci.

— I owszem, rzekłem, przecież raz skończy się to zawiłe nieporozumienie. Proszę panów naprzód, bo nie znam drogi do kancelarji. Ale do czegóż te pałasze? Czy nie przekonano się jeszcze tutaj dotąd, że jestem całkiem spokojny i grzeczny człowiek, bo ani napaści

napaścią nie odparłem, a z drzwi otwartych wcale nie korzystałem.

Przewodnicy moi szli długim korytarzem nieśmiało i mocno zmięszani. Z ich szeptów tajemniczych dosłyszałem zaledwie dwóch słów: To nie Stanisław. Ale to wystarczyło mi już, by odgadnąć cały wątek ich rozprawy.

Wreszcie stanęli pachołki, roztworzyli przedemną drzwi, a ja niemniéj śmiałym i głośnym krokiem posuwałem się w głąb wskazanego mi pokoju — kancelarji pana Dominika — właściciela dworu i całéj Królewskiéj-Woli.

Rozglądałem się najprzód po pokoju. Miał on prawdziwie rycerską powierzchowność. Jedna ściana szczelnie pokryta była długim i gęstym szeregiem strzelb i pistoletów, na drugiéj ciągnął się niemniéj długi łańcuch najrozmaitszych szabel. Do tego jeszcze wisiały tu i owdzie różne inne przybory wojenne czy myśliwskie. Pokój ten był prawdziwie piękną zbrojownią.

Pod ścianą, która wolną była od tych wszystkich rycerskich ornamentów, stał długi i szeroki stół, pokryty zieloném suknem, na którym bieliły się dwa arkusze papieru, tyleż piór i kałamarz.

Przed stołem siedział pan Dominik. Byłto mężczyzna średniego wzrostu, dość podeszłego wieku, który jednak nie stępił jeszcze wcale męzkiéj siły i rzeźwości. Twarz była jeszcze całkiem czerstwa, długi siwy wąs dodawał jéj wiele powagi, a bujne do góry sterczące włosy groźnego, rycerskiego wyrazu. Pan Dominik miał na sobie długą granatową czamarę, aksamitny żupan, objęty pysznym bogatym pasem i wysokie polskie buty.

Obok niego stał, raczéj siedział drugi mężczyzna, na którego pooranéj gęstemi zmarszczkami twarzy starość wszystkie swe wybitne piętna wyryła. Poznałem w nim od razu dowódzcę téj bandy, która mię na drodze aresztowała.

Całe to towarzystwo uzupełniał trzeci mężczyzna w sile wieku, pochylony nad papiorem i piórem z urzędniczą pokorą — prawie służalczą uległością.

Wszyscy trzej tworzyli razem obraz jakiegoś wojennego sądu. Zdarzenia ostatniego poranka dodały mi jednak tyle otuchy, że dawny strach i rozpacz nie obudziły się nawet z lekka na ten wcale groźny widok.

Spojrzałem śmiało na wszystkich tych panów nieznajomych, wzrok mój wyzywający spotkał się z ciekawém z początku a wnet niespokojném i zakłopotaném spojrzeniem pana Dominika i jego towarzyszów.

— To nie on — zapytali ci ostatni — ale dziwnie podobny. Gdyby nie ta broda.

Pogłaskałem brodę z zadowoleniem, pełen wdzięczności dla téj mojéj wybawicielki.

— A.. a... a... cedził jąkając się pan Dominik. Oddaj się Panu Bogu.

Nie wiedząc, że to jest ulubione jego przysłowie, odpowiedziałem śmiało:

— Dawno już to zrobiłem, skoro mimo tylu władz przestrzegających publiczne bezpieczeństwo, ludzie spokojni bez kłopotów gładką drogą podróżować nie mogą.

Słowa te wywarły wielki efekt.

— Obrażasz pan mnie i mego ministra policji, oddaj się Bogu, mości panie — rzekł groźnie pan Dominik, a obracając się do swego ministra, dodał jeszcze jakiś giest tajemniczy i te słowa:

— A no panie Łukaszu!

Łukasz, alias minister policji pana Dominika, wypuścił pióro z rąk, wyprostował się i szarpnął mocno za swój siwy wąs.

— Cóż to masz pan z rozbójnikami do czynienia?— zapytał jeszcze w dodatku pan Dominik, ale głosem cichym, jakby to tylko dla siebie powiedział.

— Mając właśnie całkiem inne przekonanie — rzekłem spokojnie, ale bez żadnéj obawy — odstępuje od wszelkiéj pretensji, którąby mi się w przeciwnym razie należała, ale przez to nie zwykłem odrzucać żadnego żądania satysfakcji.

Na to kategoryczne oświadczenie pan Łukasz odkrząknął kilka razy i roztworzył już do połowy gębę, ale pan Dominik jednym niezrozumiałym dla mnie giestem uśmierzył zapał ministra policji.

— Ale przedewszystkiém — rzekł pan Dominik z wypogodzoném nieco czołem — należy najpierw wyjaśnić całą tę sprawę.

— Oto jak najmocniéj proszę i od tego żądania nigdy nie odstępuję — odpowiedziałem tym samym tonem.

— Oddaj się Bogu mości panie, są przecież ważne poszlaki — rzekł pan Dominik i zachmurzył się napowrót. Widać ton wyzywający, choć na pozór spokojny moich odpowiedzi, rozdrażnił go nieco.

— Poszlaki? — odpowiedziałem z ironicznym uśmiechem. Nie poczuwam się do żadnéj zbrodni.

— Ależ oddaj się Bogu — rzekł znowu rozdrażniony pan Dominik — przyjechałeś pan przecież na żółtych saniach, które należą do pana Stanisława z Polanki. A przecież nim nie jesteś.

— Nie — odpowiedziałem. Jestem, jeżeli tu panowie nazwisk żadnych nie znacie, Władysławem z Grabowic.

— To też dla tego — ciągnął daléj pan Dominik — żądam od pana wyjaśnienia, to jest tłumaczenia.

— Tłumaczenia odemnie? — zapytałem.

— A od kogoż? Może ja się mam przed panem tłumaczyć?

— Spodziewam się.

— Oddaj się Bogu mości panie! — krzyczał pan Dominik.

— Zostałem niesłusznie zaczepionym na całkiem gładkiéj drodze, ciągnąłem daléj. Że jadę na żółtych

saniach, nie wiedziałem ani ja, ani mój furman. Spostrzegłem dopiero, gdy na to napastnicy moją uwagę zwrócili. W tém musi być jakaś tajemna bardzo zręczna intryga.

— Intryga — krzyczał naperzony pan Dominik. — A oddajże się panu Bogu mości panie.

— Tak jest — odpowiedziałem. — W tém musi być jakaś kabała. Nie wiem jednak, kto jest jéj autorem i jaką miał do tego pobudkę, złość czy żart. Domyślam się jednak, że ta kabała...

— Kabała — krzyczał do ostateczności rozgniewany pan Dominik. — To obraza honoru. Szabla!

— Nie chciałem wcale tem kogoś obrazić — jestem bez najmniejszéj bojaźni i chęci przepraszania. — Ale nie odrzucam wezwania nawet wtedy, gdy kto nie wysłuchawszy mnie do końca, słowa moje na swoją niekorzyść tłumaczy.

— Jakto? — zapytał pan Dominik zdziwiony nieco. Nie chciałeś mnie pan obrazić i nie odrzucasz wezwania.

— Za pierwsze ręczę — odpowiedziałem — moim honorem, Cieszyłoby mnie jednak bardzo, gdybym w téj chwili mógł dać dowód, że nie boję się gołéj szabli.

Pan Dominik i jego tak zwany minister patrzyli we mnie zdziwieni nieco. Wreszcie pierwszy roześmiał się z lekka, wyciągnął ku mnie dłoń i krzyknął od serca.

— Oddaj się Panu Bogu mości panie, jesteś pan prawdziwy szlachcic. Serce na dłoni a szabla w rezerwie! To mi się dopiero podoba!

Ścisnąłem serdecznie dłoń pana Dominika.

— Zapomnijmy o téj historji, w któréj dużo jest tajemnic, nawet dla mnie nieodgadnionych. Wszystko to się powoli i bez naszéj pomocy wyjaśni. Proszę do pokoju.

I po tych słowach pociągnął mię za sobą.

Odchodząc, spojrzałem jeszcze raz dokoła. Wpadła mi zaraz w oko twarz pana Łukasza, aljas ministra policyi, na któréj widocznem było wielkie zdziwienie.

Pan Łukasz patrzał ciągle na nas, potrząsł kilka razy głową, wreszcie klasnął kilka razy w dłonie i rzekł pod nosem:

— I nie porąbał go na miejscu, jak tylu innych! Co się tu teraz dzieje!

Weszliśmy do pokoju, który od swéj marsowéj sąsiadki zbrojowni i kancelarji w jednéj osobie odbijał jaskrawo cichym spokojem i pewną nawet elegancją.

W pokoju zastaliśmy dwie panny. Pierwszą widziałem już przedtém i w innem miejscu opisałem. Drugą była Jadwiga, siostra panny Wandy, jak się tego od razu domyślałem.

Panna Jadwiga żywém podobieństwem twarzy zdradziła się zaraz, że jest siostrą panny Wandy. Była tylko o wiele wyższą, miała włosy o wiele ciemniejsze i całkiem przeciwne usposobienie. W oczach błyszczała duma, z ruchów wiała powaga granicząca prawie ze sztywnością.

Przedstawiwszy mnie paniom, rzekł pan Dominik:

— To są moje córki, Jadwiga i Wanda — ot i cała moja rodzina, bo żona, oddaj się Panu Bogu, no, mości panie, — ot — i umarła przed rokiem.

Widać, że bardzo przykre uczucie towarzyszyło tym ostatnim słowom, bo długo walczył z sobą nim je wypowiedział, a po ich wymówieniu łza rzewna zaświeciła w oku, potoczyła się po marsowéj twarzy i zawisła na długim siwym wąsie. Mimowolnie westchnąłem także bardzo serdecznie i ukradkiem spojrzałem na obie córki pana Dominika. Wzrok mój nieposłuszny może za długo nieco spoczywał na twarzy panny Wandy, bo oglądnąłem się dopiero, gdy pan Dominik do mnie w te słowa się odezwał:

— Błogosławić bałamuctwo moich oficjalistów i to dziwne nieporozumienie, któremu zawdzięczam tak miłego gościa.

Ukłonem podziękowałem za komplement.

— Oficjalistów? zapytałem nieśmiało. Wszakżeż to są ministerstwa?

— Mam tylko jednego ministra, odpowiedział pan Dominik, ministra policji.

— Dlaczegóż tylko policji? — zapytałem od niechcenia, a ukradkiem szukałem tymczasem sposobnéj chwili, by znowu spojrzeć na Wandę.

— Dla postępu mości panie — odparł pan Dominik — dla postępu oddaj się Panu Bogu.

Twarz pana Dominika, zresztą tak dobroduszną i poczciwą, oszpecił teraz wyraz niechęci i uśmiech gorzkiéj ironji.

— Tak dla postępu, ciągnął daléj. Powiedzieli ludzie, że jestem bardzo zacofany, więc starałem się nowemi urządzeniami zatrzeć to uprzedzenie. Przyjąłem tedy ministra policji i całą zgraję drabów płatnych — szpiegów. Ojcowie nasi nie znali żadnéj policji, dziś urzędników policyjnych w każdém państwie więcéj niżeli dawniéj przestępców na całéj kuli ziemskiéj. To postęp oddaj się Panu Bogu!

Ta ironja z postępu zrobiła na mnie tak przykre wrażenie, że zgubiłem z oczu milczącą pannę Wandę i spojrzałem bojaźliwie i niechętnie w oczy pana Dominika.

— Jakąż pensję pobierają ci panowie, a zwłaszcza minister, zapytałem po chwili.

— Minister pobiera — odpowiedział pan Dominik — pięć tysięcy guldenów i dwadzieścia morgów pola.

— Pięć tysięcy? — zapytałem niezmiernie zdziwiony. Oficjalista prywatny pobiera pięć tysięcy?

— Tak — odpowiedział pan Dominik — ale oddaj się Panu Bogu, płaci mi mościpanie za to cztéry tysiące i ośmset guldenów podatku.

Zaśmiałem się głośno.

— To także dla postępu — odparł pan Dominik. Nie śmiéj się pan z tego, bo okrzyczą pana za dzikiego, zacofanego człowieka. Ależ dajmy temu pokój. Jesteś pan gościem u mnie, i nie tak prędko dam mu ztąd wyjechać. Przedewszystkiem chcę panu dać wygodniejsze pomieszkanie.

Patrzyłem ukradkiem tak nieustannie na pannę Wandę, że ten zapowiedziany dłuższy pobyt nie wywołał z méj strony najmniejszéj opozycji. Byłem w téj chwili nawet wdzięcznym poczciwemu panu Dominikowi.

— Co do pomieszkania, rzekłem, to będę najmocniéj panu dobrodziejowi wdzięcznym, jeżeli mi pozwoli przez ten krótki czas mego pobytu w bastylji mieszkać.

— Krótki czas.... krótki czas.... oddaj się Panu Bogu, pomrukiwał pan Dominik pod nosem. Ależ ten pokój jest bardzo samotny, odludny i bez żadnego widoku. Przeniosę pana na piąterko.

— Wcale niesamotny i nieodludny — odpowiedziałem — owszem nawet bardzo przyjemny. Dzisiaj naprzykład...

Przy tych słowach urwałem. Popatrzyłem na pannę Wandę, która nieznacznie nogą tupnęła. Nie zrozumiałem tego ruchu.

— Dzisiaj naprzykład.... ciągnąłem daléj, chcąc ranną wizytą poprzeć me twierdzenie, że bastylja nie jest wcale odludnym pokojem.

Ale panna Wanda zachmurzyła się mocno i jeszcze silniéj tupnęła zgrabną nóżką. Przerwałem więc na zawsze ten niefortunny argument.

Pan Dominik, który ukradkiem na całą tę scenę spoglądał, rzekł do mnie:

— Ale, ale! Zechcesz pan zapewne oglądnąć moje gospodarstwo. Zawołam Łukasza, żeby pana wszędzie oprowadził i wszystko wytłómaczył.

Po tych słowach wyszedł z pokoju.

— Najmocniéj przepraszam — rzekłem wtedy zakłopotany bardzo do panny Wandy. Ale w istocie ta wizyta była dla biednego więźnia w bastylii tak przyjemném zjawiskiem....

— Ależ gniewam się na pana bardzo! rzekłą panna Wanda z lekką chmurką na czole. Tato nie nie może nic o tém wiedzieć!

— Pani — zawołałem emfatycznie. Jeżeli to ma być taką tajemnicą, to nie mogła się dostać do pewniejszéj osoby.

— Bardzo pana o to proszę — dodała poważnie panna Jadwiga z wymuszonym uśmiechem i wyszła do przyległego pokoju.

— A ja pana mocniéj o to proszę — rzekła panna Wanda z powabnym uśmiechem.

Na te słowa wszedł pan Dominik a za nim pan Łukasz. Pan Dominik zdawał się być trochę rozgniewanym. Panna Wanda spiesznie pobiegła za siostrą.

— Oddaj się Panu Bogu — rzekł pan Dominik — mierząc mnie surowym wzrokiem. Cóż to za konszachty z moją Jadwinią.

Z Wandzią — chciałeś pan powiedzieć — odpowiedziałem rezolutnie.

— Oddaj się pan Bogu — rzekł pan Dominik — chciałem powiedzieć z Jadwisią i tak téż powiedziałem. Z Jadwisią, która przed chwilą ztąd wybiegła.

— To Jadwiga! — szepnąłem jakby piorunem rażony.

— Jadwiga, rzekł całkiem spokojnie pan Dominik, moja młodsza córka, która była rano u pana.

Zdziwienie moje było jeszcze większe. Wspomnienie na prośbę panny Wandy i wynikła ztąd bojaźń odjęły mi prawie mowę.

— Dobrą pan masz policję — rzekłem cierpko do pana Dominika. Ale ten wyszedł z pokoju tak niepostrzeżenie, że nie usłyszał nawet moich słów ostatnich.

— Proszę pana — rzekł Łukasz do mnie, gdy stałem ciągle mocno zadumany.

Szedłem machinalnie za moim przewodnikiem. Złość i rozpacz na przemiany burzyły się we mnie ciągle. Powtarzałem słowa staréj Katarzyny, z któréj jeszcze rano powziąłem ten pewny domysł, że przez pomyłkę wzięto mnie za narzeczonego panny Jadwigi.

— Panna Jadwiga jest narzeczoną, to pewna — myślałem w duchu.

Ale pokazuje się, że panna Jadwiga jest właśnie młodszą córką pana Dominika, która przecież powinna się Wanda nazywać.

Złość i rozpacz znowu silnie się we mnie odezwały. Dlaczego? odpowiedziałem w duchu a raczéj w sercu na to pytanie i odpowiedź ta strasznie mnie zaniepokoiła.

* * *

Pan Łukasz oprowadzał mię naokoło zamku w poważnéj roli Cicerona. Zaczął od skreślania wszystkich pamiątek historycznych przywiązanych do zamku pana Dominika, a było ich wiele i nawet bardzo ciekawych. Zamek pana Dominika starożytnéj struktury, z szaremi murami obarczył się już zapewne kilkunastu krzyżykami lat, przetrwał niejedną burzę, patrzał obojętnie na wzrost i ruinę mnóstwa tych kruchych i wiotkich pałacyków nowszéj generacji. Wyglądał wśród nich jak dziarski starzec staréj daty, spoglądający lekceważąco na wycieńczoną, słabą młodzież dzisiejszą. Dziś co kilka lat trzeba podmurowywać pałacyk, naprawiać skazy, aby zapobiedz ruinie — zamek pana Dominika stał wieki, długi upływ czasu ani jedną szczerbą w ciemnym murze, ani jednym rysem w kamiennéj ścianie nie zdołał oszpecić jego poważnego oblicza.

Pan Łukasz popadł wsród opowiadania w formalną

okstazę. Wyliczał biegle wszystkich antenatów pana Dominika, opowiadał wypadki historyczne, przywiązane do każdego miejsca z detalicznėm wyszczególnieniem każdéj daty.

Ale opowiadanie to jakkolwiek powinnoby wzbudzić nawet w oziębłym człowieku wielkie zajęcie, nie zajmowało mnie teraz wcale. Zajęty zupełnie ostatniemi słowy pana Dominika, wskazówkami pani Katarzyny, tworzyłem w głowie rozmaite kombinacje lat panny Jadwigi i Wandy. Starsza z nich Jadwiga była zaręczona, ale jakżeż może być nią ta nadobna blondynka, tak młoda jakby się dopiero z pieluch do świata uśmiechać zaczęła? Byłoby to albo jakąś anomalją wieku, albo nowém nieporozumieniem. Ale słowa ojca pana Dominika rozproszały moje powątpiewanie i próżne domysły.

Słuchałem od niechcenia, szedłem machinalnie za panem Dominikiem. Ocknąłem się dopiero z téj głębokiéj zadumy, gdyśmy obaj przed całym szeregiem szubienic stanęli.

— Cóż to znowu? — zapytałem mocno przerażony tym niespodziewanym a groźnym widokiem.

— Szubienice, jak pan widzisz, proszę mi nie przerywać.

— Dziewięćdziesiąt i dziewięć — wyprzedziłem powoli i cofnąłem się przerażony.

Dawny lęk odżył w spotęgowanym stopniu.

Tylu tu już zginęło tak haniebną śmiercią — myślałem w duchu, cóż mnie tedy lepszego czeka? Wpadłem w jakąś jaskinię łotrów, jestem niechybnie zgubiony!

Pot zimny wystąpił mi na czoło. Tchórzem nie byłem nigdy. Zginąć na szubienicy dla pięknéj sprawy, byłem zawsze gotów. Ale zginąć tak haniebnie i całkiem niewinnie dla nieszczęśliwego przypadku, który oddał mię na pastwę ludziom wyzutym z wszelkiéj uczciwości — to okropna! Oniemiałem ze strachu.

— Ależ dla Boga! — krzyknąłem w ucho spokojnemu Łukaszowi. Macież wy sumienie? Któż wam dał prawo wieszać niewinnych? Gdzież jest sprawiedliwość ludzka?

— Sprawiedliwość — rzekł Łukasz. — Sprawiedliwość chce nam jeszcze dać dukata za każdą sztukę, ale pan Dominik nie chce tego.

Łukasz miał przytém twarz uśmiechniętą. Nie mogłem patrzyć na człowieka, który może ma być moim katem, a który szydził z mego strachu tym zimnym spokojem i szatańskim uśmiechem. Myślałem, że zbłądziłem gdzieś między dziczą afrykańską, która tak bezkarnie ludzi mordować pozwala, a nawet jeszcze za występek nagrodę daje.

— A któż to panu powiedział — rzekł Łukasz widząc mą niespokojność, że my wieszamy niewinnych? Czy wilki, co duszą owce są niewinne zwierzęta?

Na to wyjaśnienie odpowiedziałem szalonym wybuchem śmiechu. Łukasz wtórował mi, ale nie tak gwałtownie.

Więc to wilki wieszacie — zawołałem spokojnie. Zabite czy żywe?

— Zabite — odpowiedział Łukasz. Bo to musisz pan wiedzieć, proszę mi nie przerywać — a przepraszam!... Mój pan jest zapalonym myśliwym. Potrafi polować kilka dni i nocy bez żadnego przestanku i najmniejszego znużenia. A kiep ten — proszę mi nie przerywać — kto tego nie potrafi. Pan Dominik zawsze to mówi: kto nie jest myśliwym dobrym, jest tchórzem, piecuchem, a nie prawdziwym Polakiem. I biada też takiemu panu, bo dalibóg — proszę mi nie przerywać — nie dostałby za żadne pieniądze ręki panny Jadwigi albo Wandy, choćby się nawet dziewczę w nim szalenie rozkochało.

— Więc pan Stanisław — rzekłem — musiał odpowiedzieć wszystkim tym warunkom, jeżeli, jak słyszałem, żeni się z panną Jadwigą.

— A tak, proszę mi nie przerywać — odparł Łukasz. Ależ bo to zuch chłopak, gdyby tylko w ostatniéj próbie nie był skrewił.

— Bardzo ciekawy jestem słyszeć o wszystkich zabiegach pana Stanisława i warunkach pana Dominika, rzekłem do Łukasza.

— Bo to się rzecz tak ma, proszę mi nie przerywać, prawił Łukasz daléj ze zwykłym sobie giestem i sposobem. — Każdy konkurent musi panu Dominikowi dowieść namacalnie, że jest dobrym Polakiem. Potém musi tam jakoś na wędkę miłości ułowić serduszko, a w końcu popisać się jakimś czynem rycerskim, dowodzącym że konkurent jest przytém i dobrym myśliwym. Potrzeba tedy, proszę mi nie przerywać, zabić wilka lub dzika, ale tak jakoś sztucznie, zgrabnie.... Tak, tak, wilka albo raczéj dwa wilki, jeżeli wliczymy tu i wspomnione powyżéj serce panienki.

— Więc tutaj serce kobiety znaczy tyle co wilk drapieżny? — zapytałem rozweselony tém dziwném zdaniem Łukasza.

Mój przewodnik spoglądał na mnie okiem smutném, melancholiczném, załamał ręce i po lekkiém westchnieniu dodał:

— A pan jesteś jeszcze, proszę mi nie przerywać, bardzo niedoświadczonym młodzieńcem. Dzikie zwierzę nie ugodzone śmiertelnie zgniecie swego mordercę jednym zamachem swéj potężnéj łapy, a serce kobiety niezupełnie podbite nie zabija od razu, lecz jak furja piekielna przestanie cię dręczyć z ostatnim tchem życia. Tak, panie!

Smutny ton mowy Łukasza i pocieszne jego ruchy przytém wprowadziły mię na domysł, że to całe pomieszane argumentowanie jego wynikło z niemiłego wspomnienia jakichś dawnych bezskutecznych umizgów i nieudałéj miłości. Przed kilku dniami nazwałbym Łu-

kaszą po tém wszystkiém warjatem, dziś pojmowałem poniekąd jego dziwny smutek i miałem nawet pewne współczucie.

— Więc pan Stanisław — zagadnąłem znowu Łukasza — nie wywiązał się pewnie z tych wszystkich zadań.

— Wyśmienicie — odpowiedział Łukasz. — Tylko przy ostatnim warunku skrewił szkaradnie. Już po zaręczynach miał się oddalić ztąd na trzy miesiące i nie pokazywać się na oczy nawet panience. Pan Dominik chciał tym sposobem wypróbować trwałość i siłę jego miłości. Ale pan Stanisław nie mógł wytrzymać. Ukradkiem dostał się do zamku, by zobaczyć swą bogdankę. Szpiegi donieśli o tém panu Dominikowi; ten wysłał nas za nim w pogoń i złapaliśmy.... pana Władysława, zupełnie podobnego do naszego zbiega.

— Więc kosztem moim — rzekłem — będzie pan Stanisław szczęśliwym, wstrzymując w sobie gwałtowny niepokój.

— Kto wie — odpowiedział Łukasz. Gdybyśmy go byli złapali, odsiedziałby te trzy miesiące pod kluczem w bastyli, a teraz, chociaż nawet aż po upływie terminu wróci, może go bardzo łatwo spotkać odmowa i zerwanie ugody.

— Więc dlatego to panna Jadwiga jest tak smutną? zapytałem.

— Jest się czém smucić — odparł Łukasz. Nawet panna Wanda, zawsze tak swawolna i wesoła, dzieli smutek swéj siostry.

— Panna Wanda jest kiedy swawolną? — zapytałem zdziwiony. — Zdawało mi się, że jest zawsze poważną sensatką.

— Ale proszę mi nie przerywać, to trzpiot, jakiego świat i Korona polska nie widziała.

Wszystko to wydało mi się tak nieprawdopodobném, zagadkowém, że nie zadowoliło mnie bynajmniéj i to upewnienie. Dręczyła mnie jeszcze ciągle ta niepewność i wątpliwość prawdziwego imienia obu córek pana Dominika.

— Panna Wanda miałaby być trzpiotem? — pytałem daléj. — Panna Wanda? Chyba mówisz pan o téj pięknéj blandynce, starszéj córce pana Dominika.

— A jużciż! — rzekł Łukasz.

Ale w téj saméj chwili klasnął niechętnie w obie dłonie i prędko zawołał:

— Ale otóż i bałamuctwo! Przerywałeś mi pan ciągle moje słowa i stało się bałamuctwo. Proszęż mi choć teraz nie przerywać. Ta blondynka jest Jadwigą, starszą córką, a nie Wandą, jak to obałamucony tém pańskiém przerywaniem moich słów mylnie powiedziałem.

Ale ta poprawa pana Łukasza zamiast usprawiedliwienia obudziła we mnie jeszcze większe podejrzenie co do istotnych imion córek pana Dominika. Musiała w tém być jakaś nowa zagadka. Mogłem bardzo łatwo skorzystać z tego pomieszania pana Łukasza, prawdomówność jego i nieporadność w kłamstwie ułatwiłaby mi bardzo łatwo pożądany skutek zręcznéj indagacji i pomogła wynaleść wśród téj plątaniny nieporozumienia i rozmyślnego bałamuctwa nić prawdy. Ale przyszło mi na myśl, że pan Łukasz zbałamucony rzeczywiście urojoném jakiémś przerywaniem mógł istotnie pomylić się w oznaczeniu imion. W takim przypadku milszą mi już była ta niepewność niżeli naga prawda. Łudziłem się tedy rozkosznie tém przypuszczeniem, że jest w tém jakaś zręczna mistyfikacja, że piękna blondynka nie jest wcale narzeczoną Jadwigą, ale wolną, piękną Wandą. — W milczeniu obopólném doszliśmy w końcu do tylnéj części zamku.

— Otóż i więzienia — zawołał pan Łukasz mocno zadowolony, że tym nowym zwrotem pogadanki potrafi pokryć swe zakłopotanie. — Tak, otóż i więzienia — ciągnął skwapliwie daléj; — dziś niestety od wielu lat, bo od roku 1848 prawie zawsze próżne. Ale dawniéj, proszę mi nie przerywać, ho, ho! Dwa tygodnie, dwa miesiące i dłużéj stosownie do rozmiarów przestępku w kajdanach lub bez nich odsiadywał tu niejeden bez żadnych wezwań, sądów, indagacji, na jedno słówko p. Dominika. A jeden nawet nazwiskiem Konik, który jeszcze żyje i którego pan, proszę mi nie przerywać, dla przekonania zapytać się możesz, skazany był na dwadzieścia lat. Ale właśnie wtedy urodziła się panna Wanda i przyszła zupełna amnestja.

Całe to opowiadanie zdziwiło mię niezmiernie. Jak mógł ścierpieć rząd tyle wybryków swawoli, która z dworu i kilku wiosek chciała utworzyć nowe państwo w państwie. Ale dzieje się wiele rzeczy w Królewskiéj Woli, o których spokojnym poddanym nawet nigdy się nie śniło. Doznawszy w krótkim przeciągu czasu tylu dziwacznych niespodzianek, sądziłem, że Królewska Wola wyniesioną jest do rzędu mikroskopijnych Rzeczypospolitych, w któréj prezyduje pan Dominik. Jakby na potwierdzenie tego szalonego domysłu zapytałem pana Łukasza:

— I wszystko to robiliście bez żadnéj interwencyi i przeszkody ze strony władzy rządowéj?

— Władzy rządowéj? — rzekł pan Łukasz z lekkim uśmiechem. Śmiać się z tego, proszę mi nie przerywać. Przysłano raz jakiegoś kusego ogolonego niemca na komisją. Przyjęli go jak się należy. Odsiedział trzy dni w bastylii pod kluczem o głodzie i chłodzie i po takiém przyjęciu serdeczném czmychnął co żywo z niezapisanym papierem i suchém piórem.

Roześmiałem się serdecznie.

(Ciąg d. n.)

MARYLKA

(BALLADA.)

W wrzącém objęciu złotych promieni
Wirując wdzięcznie — napół omdlała
Piękna przyroda — w wieczornéj cieni
Chciwa spoczynku — słońce żegnała.
Mgłą się niebieską skromnie okryła —
Wpadła w jakoweś — święte marzenia —
Sen ją ogarnął — gdy się modliła —
Już tylko wiały jéj wonne tchnienia.

Gdy z czarnéj głębi — z poza gór szczytu
Wychylił księżyc czoło srebrzyste —
Sunął poważnie na tle błękitu —
I lał nań światło smętne i czyste.
Zapadła cisza — wielka — solenna,
Sowa złowróżba w puszczy hukała,
Wszystko chłonęła senność bezdenna,
Marylka sama jedna nie spała.

Wyszło z swéj chaty dziewczę urocze,
Jakby ją nieśli boscy anieli,
Czarna przepaska — czarne warkocze,
I krzyżyk czarny — i cała w bieli.
Na jéj warkoczach weselny wieniec,
Z wieńca spływała lekka osłona —
Oczy zapadłe — w twarzy rumieniec
Zgasły — a w sercu z cierni korona.

Jak zwolna przyszła do wrót cmentarza,
Wrota się przed nią same rozwiodły
I postąpiła, jak do ołtarza —
Idzie dziewica na ślubne modły.
Tam gdzie stérczała świeża mogiła
Wstrzymała kroki — zgięła kolana,
Bolesne czoło w niebo zwróciła —
Stasiu — wołała łzami zalana.

Wierna przysiędze — ty wiesz mój luby
Dla czego przyszłam. — U téj mogiły
Mamy uświęcić wieczyste śluby —
Których za życia Nieba wzbroniły.

Na to zaklęcie — jak cień przeźroczy
Jakowaś postać wyszła z ciemnicy.
Do grobu zwolna milcząca kroczy,
Klęka naprzeciw drzącéj dziewicy.
Pierś ma rozdartą — strzaskaną głowę,
Z ran płyną czarne — krwawe potoki —
Oto są — rzecze — szaty godowe —
W tych się syn ludzki wznosi w obłoki.
W nich wieczne z niebem zawiera śluby
Modląc się Bogu za swe morderce
W nich je zasłania od wiecznéj zguby —
W zamian boleści dając im serce.
Nie płacz Marylko — wszak to wesele.
Jam zdobył żywot — przyszedł po ciebie —
Prochy zostawim w ziemskim popiele,
Odżyjem luba w takim pogrzebie.

I dwa cheruby — chyląc ku sobie
Głowy — jako nad arką przymierza
Przysięgli wiarę wieczną na grobie —
Krzyżyk dziewicy — i krew żołnierza.
Znikło widzenie — Marylka hyża
Wracała śmiało do nizkiéj chatki —
Wszystko żegnała znamieniem krzyża —
Zmówiła pacież u drzwi swéj matki

I poszła spocząć. — Wnet jéj oczęta
Sklèił sen błogi — z słodkim wyrazem
Na twarzy spała dziewica święta —
Pod Nieskalanéj Matki obrazem.
Krwawa jutrzenka ciekawém okiem
Spogląda w głębie — pnie się ku górze.
Lekko i zwolna — wreszcie potokiem
Światło się leje — tchnie po lazurze.

I budzi ze snu piękną przyrodę —
Jasny kochanek miłością tknięty
Zdziera osłonę — krasi urodę —
Zapala na niéj wszystkie djamenty.
Wszystkie kolory powabem tęczy
Już zajaśniały — przyroda wstała —
Zbolała matka przy łożu klęczy —
Marylka sama wiecznym snem spała.

Boguchwał.

TEATR. — *Montjoye*, komedja w 5 aktach, przez O. Feuillet.

Jakkolwiek autor nazwał swoję sztukę komedją, tyle w niéj przecież znajduje się sytuacji dramatycznych, tyle scen pięknych i wzniosłych, — że poważylibyśmy się sztukę tę, nazwać raczéj dramatem jak komedją. — Co do treści jéj, jestto przedewszystkiém apologja małżeństwa, gdzie p. Feuillet nader szczęśliwie przeprowadza myśl tę, że związek małżeński przedewszystkiém powinien być uświęcony powagą kościoła. Jakkolwiek tendencja sztuki wystosowaną jest przeciw wolności małżeństw cywilnych we Francji, zdaje nam się, że pojawienie się jéj na scenie naszéj jest może więcéj niż kiedykolwiek i u nas obecnie na dobie. Co zaś do charakteru osób, te są nader szczęśliwie

szkicowane. Montjoye, bogaty bankier paryzki — jestto jeden z tych ludzi, którzy nie cofają się przed niczém. Niezłamana wola tego człowieka druzgocze wszystkie uczucia ludzkie, łamie wszystkie zasady społeczeństwa dla dojścia do celu, który sobie zamierzył. Rodzina, moralność, uczciwość, są to rzeczy, któremi posługuje się tylko dla własnych widoków. Henryka, żona pana Montjoye jestto kobieta szlachetna, ale lekkomyślna o tyle, że dom rodzicielski opuściła dla połączenia się z mężem. Z małżeństwa tego nieślubnego jest dwoje dzieci, Roland i Cecylja. Syn wychowany przez ojca, ma wpojone w siebie zasady pana Montjoye, z sercem poczciwém, ale zepsutém za młodu; przychodzi chwila, że jako wyrzut sumienia staje przed ojcem i rzuca mu w oczy jego występki.... chwila straszna a nieuniknona w obec błędnego wychowania dzieci.

Cecylja odziedziczyła łagodność charakteru i szlachetność duszy matki — to też kochając ojca — idzie za matką, gdy przyszło do formalnego rozłączenia się. Syn pozostaje przy ojcu. — Jednakże człowiek, który przez całe życie oszukiwał drugich, nie wierzy w szlachetność i miłość własnego dziecka, podejrzywa go o nikczemne wyrachowanie — i odtrąca go od siebie wtenczas, kiedy potrzebowałby całéj miłości ludzi, aby ukoić burzę w swojéj duszy. Syn oburzony postępowaniem ojca opuszcza go i wstępuje do wojska. — I oto Montjoye, bogacz ów — człowiek znaczenia i pozycji światowéj — doszedłszy do celu swych pragnień — mając wszystko za czém gonił, czuje się sam, bez żony i dzieci, które kochał. Ale natura ludzka budzi się zawsze w człowieku. Montjoye idzie za synem, pielęgnuje go, gdy jest ranny, wraca go następnie matce, z którą na nowo łączy się błogosławieństwem kościoła, a majątek nieuczciwie zebrany oddaje synowi człowieka, którego oszukał, wraz z ręką córki swéj Cecylji. Szczupłość miejsca nie pozwoliła nam dotknąć niektórych scen i sytuacji bardzo miłych i rzewnych, jak np. kiedy Montjoye znajdując się w pokoju swéj córki, odbiera od niéj bukiet fijołków dowód miłéj dziecięcéj miłości i wizytę pani margrabiny de Rio Valez — kobiety, która c h c e być jego kochanką — scena ta, kiedy pani margrabina chce zabrać bukiecik kwiatków, które jak świętości czczone są przez ojca; lub kiedy przymierza sznur pereł — które kiedyś Cecylja nosiła, są prawdziwie piękne znaczeniem prawdy psychologicznéj. Co do gry p.p. artystów, ponieważ sztuka wymagała pewnéj szkoły dramatycznéj, zmuszeni jesteśmy pomówić o niéj obszerniéj.

Nie zawsze nam się zdarza p. Bendę (Montjoye) widzieć na scenie, abyśmy grę jego pochwalić mogli, zwłaszcza w rolach wyższych charakterów. Tutaj przecież nic mu zarzucić nie możemy. Szczególniéj, kiedy znajduje się w sytuacjach, gdzie z człowiekiem walczy spekulant bez serca. Scenę każdą oddał z zupełném zadowoleniem wymagań sztuki. Pana Rapackiego (Saladin), kiedy wchodzi na scenę przedstawić się p. Montjoye dawnemu swojemu koledze i przyjacielowi — publiczność wita oklaskami. Pan Rapacki jestto może jedyny artysta na scenie naszéj, posiadający szkołę dramatyczną — dla tego, kiedy sztuka przedstawia niezwalczone trudności dla drugich, on pokonywa je z łatwością. W grze jego nigdy a r t y s t a nie opuści a k t o r a. — Niezrównanie charakteryzuje człowieka, który żyjąc sercem i marzeniami — przedstawia smutny obraz rzeczywistości — tj. kończy na szpitalu i nędzy. P. Borkowska w roli Cecylji rywalizowała z opinją, jaką pozostawiła po sobie na scenie tutejszéj p. Bakałowicz, mimo to przecież gra jéj zawsze ma sprawiedliwe uznanie. W końcu dodać nam jeszcze wypada, że częstszy wybór sztuk podobnych byłby niejako szkołą dla artystów, a w każdym razie próbą — gdzie przedmiot nie wymaga takich warunków jak np. „Faust“.

D.

---

a. d. **Kronika.** Świt wiosny. — Koncert „MUZY“. — Schiller i patrjotyzm.

Poczta tutejsza odbiera listy z Paryża pełne woni róż i fijołków — spodziewamy się więc, że i do nas jakim schnellzugiem zawita niedługo ten upragniony gość — wiosna! Nie wiem, jak komu to słowo wpada do duszy — co do mnie, wiosna — to niby piosnka rozdzieńdzielonego skowronka, pełna zapachu wonnego kwiecia z uśmiechem słonecznéj pogody. Lato jest piękne, ani słowa, ale to już dojrzałe namiętności w duszy człowieka, palące pragnieniami — skwar nieznośny; każdy pączek kwiatu już rozwinięty — nie raz znużenie w naturze — a poza tém myśl o... zimnéj starości. Doprawdy nie wiem, zkąd nabrałem w siebie téj poetyczności brakuje tylko, abym wam jaki sonet zrymował na cześć wiosny, albo zaprosił was na nadpowietrzną podróż balonem do Afryki — a ręczę, że na moim grobie stanąłby niebotyczny pomnik z napisem: „śpiewakowi wiosny — wdzięczna Natura“. Jednakże modyfikując moje marzenia laurowe, gotów jestem koszta pomnika przeznaczyć na zupę rumfordzką dla biednych tutejszych i z wami piękne czytelniczki prowadzić gawędę nie już skrzydlatą poezją ale tak sobie po krakowsku — prozaicznie. Odłożywszy więc wiosnę do maja, powiem wam Szanowne Panie na uszko, że tu i ówdzie robią wielkie przygotowania do teatru amatorskiego — w obawie tylko jesteśmy, aby się to na niczém nie skończyło — zwłaszcza, że cel o ile wiemy jest bardzo piękny. Tymczasem towarzystwo „**Muzy**“ nie pamiętając Krakowowi karnawałowéj obojętności — wystąpiło z pierwszym koncertem postnym d. 22. lutego w sali Resursy Mieszczańskiéj. Publiczność tutejsza chcąc naprawić malutki błąd swój co do balu danego na korzyść kształcących się artystów, zgromadziła się bardzo licznie — aby zapewnić „Muzę“ o swojich sympatjach, zwłaszcza, kiedy kwestja wstępu nie przedstawia żadnego ambarasu.

Znalazłszy się z wami Szanowne Panie wpośród Muz i artystów, powiedzieć wam muszę — iż we Lwowie zawiązuje się ko-

mitet pod kierunkiem Polaków, który pracuje nad wzniesieniem pomnika Schillerowi!... Kordjalna taka miłość dla niemieckiéj poezji i niemieckich poetów niechaj nas nie dziwi — dzieją się rzeczy nadzwyczajne w naszym wieku.... Wygórowany patrjotyzm gubi się czasem w abstrakcjach. Ciekawi tylko jesteśmy, czy Niemcy poznają się na grzeczności i czy pomniki Słowackiego, Mickiewicza lub Krasińskiego zawitają kiedy na ziemi niemieckiéj. Chorowaliśmy już na Moskali, na Francuzów, teraz innego rodzaju trawi nas gorączka. A jeżeli już wiek XIX. choruje na stawianie pomników — toż przedewszystkiém nasze kolosalne głupstwo zasługuje na pierwszeństwo.

Mody na marzec.

Opis ryciny.

Strój wieczorny lub balowy. Suknia biała gazowa w szérokie falbany, tunika żółta atłasowa, obszyta brzegiem koronką białą i na końcach ozdobiona jedwabnemi kutasami, stan mocno wycięty obszyty w około gorsu koronką białą. Rękawy odpowiednie do tuniki. Druga osoba nosi suknię błękitną z jedwabnéj materji, na niéj tunika biała gazowa w atłasowe prążki, na około dołem obszyta koronką a po bokach podpięta błękitnemi szarfami zakończonemi rozetami z takiéj wstążki co i szarfy.

Opis krojów.

Otwarta koszulka dla dziecięcia nowonarodzonego.

Fig. 1. Stan koszulki } × × × × ×
Fig. 2. Rękaw }

Przód koszulki kraje się razem z plecami w całości, brzegi plecek i dół obrębia się, wycina się pacha i rękawek wszywa się do niéj, około szyjki obszywa się kryzką i robi się obrąbek do ściągania.

Koszulka dla dziecięcia.

Fig. 3. } × • × • × • × • ×
Fig. 4. }

Stan koszulki kraje się w całości po zeszyciu, część odznaczona kropkami wykłada się i obszywa koronką, również i rękawki koło szyjki obszywa się takąż koroneczką.

Poszéweczka na długą poduszkę.

Fig. 5. Poszéweczka } o o o o o o
Fig. 6. Nakrycie }

Poszéweczka kraje się podwójnie, zeszywa się krajem wyjąwszy dołu, którędy się wsuwa watowana lub piérzana poduszka. Rozporek tenespina się na guziki. Nakrycie po ukrojeniu garniruje się falbankami i do poszéwki przyszywa.

Płaszczyk do kąpania dziecięcia.

Fig. 7. Płaszczyk } — • — • — • — •
Fig. 8. Kapiszon }

Płaszczyk ten kraje się z przodu 98 z tyłu 100 centimetrów długi, z cienkiéj flanelki, na ramionach zeszywa się i około szyjki przyszywa się kapiszon, co potém na tasiemce ściąga się. Kapiszon jest we fałdy ułożony przez co do twarzyczki lepiéj przylega.

Kaftanik nocny dla dzieci 1—3 lat.

Fig. 9. Połowa obojczyka.
Fig. 10. Stan. }
Fig. 11. Rękaw } — — — — —
Fig. 12. Listewka }

Takie kaftaniki krają się z flanelki, stan w całości; równocześnie przy krajaniu stanu wycina się pacha. Dół kaftanika obrębia się lub tasiemką podszywa, góra tegoż układa się we fałdy i do podszytego perkalem obojczyka przyszywa. Kaftanik jest z tyłu na guziki zapięty. Dość széroki rękaw jest ułożony we fałdy i wszyty do pachy, zaś na około ręki obszyty listewką.

Staniczek do spódniczki na 1—3 lat.

Fig. 13. Stan } — * — * — *
Fig. 14. Ramiączko }

Taki staniczek kraje się z podwójnego perkalu, podług głosek zeszywa, w tyle sznurują się za pomocą tasiemki i okutych dziurek. Do takiego stanika można jakąkolwiek spódniczkę przyszyć.

Stanik do wełnianej spódniczki dla jednorocznego dziecka.

Fig. 15. Stan } oo — oo — oo — oo
Fig. 16. Połowa rękawa }

Spodniczka kraje się 85 centimetrów długa — górą 112, dołem 140 szeroka. Zwężanie u góry robi się za pomocą wszytek. Stanik robi się z takiéj flanelki jak spodniczka, w tyle dają się tasiemki do wiązania. Wycięcie szyji lamuje się tasiemką.

Kaftanik garnirowany na jednoroczne dziecko.

Fig. 17. Przód. }
Fig. 18. Plecy } — — — — —
Fig. 19. Rękaw }

Przód kaftanika szyje się podług gustu w drobne zakładki lub bufki, podług głosek wszystko się zeszywa i falbankami garniruje.

Kaftanik perkalowy.

Fig. 20. Przód } • • • • • • •
Fig. 21. Rękaw }

Nie podajemy kroju plecek, gdyż krój umieszczony pod Fig. 18 uzupełnia brak plecek do kaftanika perkalowego.

Koszulka dla dziewczynki 1—3 lat.

Fig. 22. Stan }
Fig. 23. Listewka do szyji } * * * * *
Fig. 24. Rękaw }

Po ukrojeniu i zeszyciu stanu zmarszcza się A. do B. i do podwójnéj na ramieniu listewki wszywa. Bamię zapina się na guziki. Rękawek jest tylko od E. do F. zeszyty a brzegiem stósownie z listewką koło szyi ogarnirowany.

Fartuszek dla dziewczynki 3—5 lat.

Fig. 25. Fartuszek }
Fig. 26. Staniczek z szelką } × — × — × — × —
Fig. 27. Pasek }

Fartuszek kraje się z trzech części, z których środkowa garniruje się falbanką. Staniczek z szelką i pasek kraje się podwójnie, garniruje i podług oznaczonych głosek łączy.

Czépek ranny.

Fig. 28. Denko } ~~~~~~~~~~~~
Fig. 29. Czołko }

Denko kraje się w całości i do czołka przyszywa, w tyle wciąga się gumka. Czołko garniruje się koronką i fontazikami ze wstążki, która przykryta wstaweczką i obszyta po bokach koronką przełożona przez całą głowę formuje szarfy.

Czepek ranny.

Fig. 30. Czołko. — — — —

Czołko garniruje się koronką i wstążkami, w tyle czołka przy-

pina się fontaź z końcami, z pod których wychodzą szarfy tiulowe obszyte koronką. Denka nie ma żadnego, służy więc dla osób młodszych.

Koszula dla chłopca 1—3 lat.

Fig. 31. Stan
Fig. 32. Listewka } ▬▬▬▬

Stan kraje się albo w całości z wszystkiemi przyległemi częściami, lub każda część kraje się osobno i tak jak krój na arkuszu okazuje przyszywa. Z przodu rozcina się rozporek i robi szeroka zakładka jako gors. Po uszyciu stanu przystębnuje się rozcięte ramiączko od B., gdzie przychodzi mały klinik na prawej stronie koszulki przystębnowany. Tak uszyta koszula wycina się do szyji i przyszywa się do listewki opatrzonéj guzikiem do zapięcia. Koło szyji i rękawów daje się jakikolwiek garnirunek.

Koszula dla 6letniego chłopca.

Fig. 33. Stan
Fig. 34. Ramiączko
Fig. 35. Listewka do szyi } — — —
Fig. 36. Rękaw
Fig. 37. Mankiet } — — — — —

Ukrojony stan zeszywa się od I. do K., na dole w rozporkach z boków dają się małe kliniki, a wreszcie dół obrębia się. Z przodu rozcina się płótno i szyją drobne zakładki jako gors, który w stanie małą listewką jest podszyty. Na ramieniu od E. do D. i w tyle od C. — B. marszczy się koszula i do podwójnego ramiączka stębnem przyszywa. Listewka przystębnywa się do szyji, a rękaw zmarszczony do ręki, od środka do gwiazdki łączy się z mankietem opatrzonym guzikiem do spięcia.

Koszula dla dziewczynki 5—6 lat.

Fig. 38. Stan
Fig. 39. Rękaw
Fig. 40. Listewka } ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○

Ukrojony stan po bokach zeszyty garniruje się z przodu na obrąbionym rozporku wstawką i koroneczką. Wstawka obszyta koroneczką około listewki, do któréj przyszywa się stan zmarszczony od A. do gwiazdki. Rękaw obszyty wstawką i koroneczką.

Majtki dla dziewczynki 2—4 lat.

Fig. 41. Majtki
Fig. 42. Pasek } oo — oo — oo — oo —

Obydwie majtki zeszywają się od E. do D. a od D. — A. — F. obrębiają. Podwójny perkalowy pasek przyszywa się od C. do C. do przymarszczonych majtek, a od C. do F. robi się na palec széroki obrąbek i tasiemka naciąga.

Fig. 42. Majtki
Fig. 43. Pasek } — — — — — —

Zeszyte majtki obszywają się na dole z lewéj strony tasiemką i od B. do C. i E. także tasiemką się podszywa. Pasek z barchanu podszywa się perkalem i do sfałdowanych majtek przyszywa.

Mulowa koszulka do chrztu.

Fig. 45. Stan
Fig. 46. Garnirunek z przodu } • * ○ * ○ * ○

Stan koszulki zdobi się garnirunkiem z wstawek mulowych i tiulowych lub z bufek i zakładek, a stósowny rękawek obszyty koroneczką stanowi śliczną całość.

Pieluszka flanelowa.

Nr. 47. Pieluszka
Nr. 48. Pasek } * * * *

Pieluszka kraje się jak to wzór okazuje, od C. do B. marszczy i między podwójny pasek od C. do A. wszywa. Kraje pieluszki lamują się tasiemką. Do paska przyszywają się tasiemki, które przez dziurkę na narożniku pieluszki zrobioną przeciągają się i związują.

Fartuszek dla dziewczynki 3—5 lat.

Fig. 49. Przód
Fig. 50. Plecy
Fig. 51. Ramiączko } — • — • — • — •

Przód i plecy krają się z perkalu, zeszywają od D. do E. idołem, a w tyle robi się wązki obrąbek i dołem falbanką obszywa. Gdy już na ramieniu od A. do B. zeszyte i fałdy zrobione, fastrygują się przez C. i ramiązcko w całości przyszywa. Cały fartuszek rękawek obszywa się haftowaną falbanką.

Kaftanik nocny dla 5letniéj dziewczynki.

Fig. 52. Przód
Fig. 53. Plecy
Fig. 54. Listewka do szyji
Fig. 55. Kolnierzyk
Fig. 56. Rękaw } — * — * — *

Plecy krają się w całości, przody pojedynczo, z dodaniem na zakładki i na zeszycie; koło szyi przyszywa się listewka i kołnierzyk, a koło rękawów dołem przyszywa się szlarka haftowana.

Kaftanik dla rocznego dziecka.

Fig. 57. Przód
Fig. 58. Plecy
Fig. 59. Rękaw } × • × • × • × •

Do przykrojonego i zeszytego kaftanika wstawia się z przodu bufka, obszyta po bokach wstawką i koroneczką. Koło szyji przyszywa się na trzy palce szeroka koronka, koło rękawów bufka z wstawką i koronką.

Kaftanik pikowy.

Fig. 60. Przód. × × × × ×

Plecy i rękaw wzięte z kaftanika poprzedzającego można użyc do kaftanika pikowego, który zeszywa się i tasiemką lamuje, a koło szyji falbanką obszywa.

Trzewiczek z flanelki lub sukna.

Fig. 61. Przyszwa
Fig. 62. Podeszwa } • — • — • — •

Przyszwa i podeszwa kraje się z podwójnéj flaneli, łączy się ze sobą i lamuje tasiemką. U góry i przód trzewiczka okłada się pluszem lub barankiem i z przodu na wstążeczki wiąże.

Podbródek spięty na ramieniu.

Fig. 63. Połowa podbródka ~~~~~~~~

Robi się go z piki, podszywa perkalem i krajem małe ząbki dzierzga. Na ramieniu zapina się na guzik.

Podbródek zapięty z przodu.

Fig. 64. Połowa podbródka ▬▬▬▬

Lewa część podbródka kraje się w zęby, które opatrzone dziurkami zapięte są na guziki z prawéj strony.

Podbródek z paskiem.

Fig. 65. Połowa podbródka • • • • • • •

Podbródek kraje się w całości, podszywa perkalem i w tyle na karku na guzik zapina. Również i pasek spięty jest na guzik.

Podbródek pikowy.

Fig. 66. Polowa podbródka • • • • • •

Ten podbródek różni się od poprzednich, że krój jego dołem jest inny.

*** Autor **Czarnéj Księgi** i **Horożany** przysporzył znowu pamiątkowéj literaturze, cierpień i niedoli naszéj, jeden obrazek więcéj, świecący jak gwiazda polarna na tle lodów Syberyi a zatytułowany: „**Na Irtyszu**". — Jestto opowiadanie o biednym Polaku — który w długiéj niewoli, z niecierpliwością oczekuje chwili swego oswobodzenia. — Chwila ta nadchodzi wreszcie; statek „Jermak", na którego pokładzie znajduje się nasz rodak, w charakterze konwojującego skazańców, zbliża się do miejsca, które ma dać mu sposobność do ucieczki, gdy wtém... zdala, na wzburzonych falach Irtyszu, spostrzegać się daje łódka, a na niéj żona bohatera z małém dziecięciem u łona. Łódź dobija do statku, a nieszczęśliwy wygnaniec pragnący jak światła dziennego uścisku żony i dziecka, przechyla się i wpada w szalejące bałwany Irtyszu.... Prostota i rzewność, z jaką autor opowiada sceny poruszające całą naturą człowieka — czyni dziełko to nader interesującém.

*** Piszą nam z Nowego-Yorku co następuje: Dnia 29 listopada r. z. odbyła się w Nowym-Yorku uroczystość obchodu 39téj rocznicy powstania polskiego. Komitet polski urządził wspaniały objad; sala przystrojoną była popiersiem Kościuszki i chorągwiami polskiemi z nadpisem: „wolność i niepodległość". Na uroczystość tę przybył p. Celtner ze Szwajcarji, u którego ojca czas dług Kościuszko przemieszkiwał. Mowców różnych narodowości było 9ciu, ostatni przemawiał p. Henryk Kałusowski, rządowy bibliotekarz z Wassingtonu. Mowę swoją zakończył temi słowy: „dochodzą nas wieści, że ukochany nasz wieszcz Wincenty Pol wzrok utracił". Słowa te przyjęte były z największém ubolewaniem. Nim mówca zeszedł z estrady, oddeklamował początek „Pieśni o Ziemi" tegoż poety, który wśród rzęsistych oklasków i wiwatów przyjętym został".

*** Rozpoczęty drugi szereg **Odczytów popularnych** płatnych zawiera nader interesujące przedmioty dla publiczności. Historja, Jeografja, Chemja, Astronomja, Nauki przyrodnicze — wszystko to, obok nazwisk p.p. prelegentów, powinno być dostateczną pobudką, byśmy salę odczytów widzieli zawsze pełną słuchaczy.

*** Ruch umysłowy w Warszawie coraz się więcéj rozwija. Z początkiem bieżącego roku powstały aż trzy nowe pisma, z których „Tygodnik romansów i powieści" dziś już do 4rech tysięcy prenumeratorów posiada! Nie mała to liczba na Warszawę, w któréj obrębie wychodzi 36 pism najróżnorodniejszéj treści. Książek dla dzieci nazbierała się dość spora wiązka, a nakładcami ich są: p.p. Maurycy Orgelbrand i zasłużona firma Gebetnera i Wolfa księgarzy warszawskich. Z dzieł nowych wyszły na widok publiczny 4. i 5. zeszyt Szkiców Klina, młodego i wielce uzdolnionego pisarza, który z niewyczerpanym humorem, oryginalnością i... sarkazmem kreśli kreśli te swoje notatki z podróży po Europie. „Wiedzy", wydawnictwa p. Adama Wiślickiego wyszedł zeszyt 7my i przyobiecany mamy drugi tom arcypożytecznéj księgi o Poradności (Self—help). Z pism dla kobiet największą starannością odznacza się „Bluszcz", redagowany przez znakomitą poetkę p. Marję Ilnicką. Kalendarzy wyszło kilkanaście — a najstaranniéj i najozdobniéj wydany jest kalendarz p. Jaworskiego — a stosunkowo najtańszy p. J. Ungra.

† Dnia 11. b. m. dokonała żywota w klasztorku Bazyljanek w Rzymie matka Makryna Mieczysławska, znana całemu światu ofiara moskiewskiego prześladowania.

Od Redakcji.

☛ Upraszamy Szanownych Prenumeratorów i PP. Ajentów, aby podawali wyraźnie nazwiska miejsca zamieszkania i ostatniéj poczty — gdzie ma być „Kalina" posyłaną. — Inaczéj interessanci narażają się na zwłokę — a redakcji przysparza się niemały kłopot.

Bióro redakcji przy ulicy Szewskiéj Nr. 221.

Korespondencja „Kaliny".

P. **Br. Po.** Odebraliśmy dwa listy, jeden z piątku, drugi ze środy — choćbyśmy chcieli odpowiedzieć, nie wiemy które z tych miejsc stale pan zamieszkujesz.

P. **Epsilonowi.** Korrespondencje lwowskie byłyby dla nas pożądane, z przesłanych przecież korzystać nie możemy dla tego, że nadto drażliwie dotknąłeś pan pewnych osobistości — które poza Lwowem mają lepszą opinję.

P. **Z. M.** Tego rodzaju prac artystycznych, mimo całego uznania z naszéj strony — wynadgrodzić nie jesteśmy w stanie.

P. **Sma.** w Krzesz. Śmiało! Komu sądzona, przyszłość wieszczów laurowa — ten choć się w chmury schowa — nie zmieni się w gawrona. Może i to się zdarzyć, mimo chęci najszczérsze — że zamiast pisać wiersze — los dał nam piwo warzyć.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

Prenumerata miejscowa „Kaliny" wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i **kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Szewska (pod Barankiem) l. 221, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu" księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.

W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1869.